

„Szczęśliwy traf”

30 listopad 2018r.

*„Przestań powieki ustawicznie spuszczać
W ziemię, o drogim ojcu rozmyślając.
Co żyje, musi umrzeć; dziś tu gości,
A jutro w progi przechodzi wieczności;
To pospolita rzecz.”*

Tak łatwo było to napisać, a tak trudno przeżyć: „Zgińcie wszyscy, życzę wam tego, jeśli nie rozumiecie czym dla człowieka młodego jest śmierć”.

Jaka hipokryzja kryje się zatem w moich słowach, ponieważ parę miesięcy temu sam nie rozumiałem tego pojęcia. Jeszcze nie tak dawno żyłem w dziecinnej naiwności świata, gdzie śmierć była pojęciem abstrakcyjnym, a dziś? Stoję nad tym grobem, dotykam zimnej płyty, a spod zamkniętych powiek wynurzają się słone łzy. Ta bierność dobija mnie, sprawia, że jestem bezsilny. Powolnie obumieram jak zeschnięty kwiat.

*„Dni nasze jak dni motylka,
Życiem wschód, śmiercią południe”*

Pytań jest tak wiele, a tak mało odpowiedzi.

Ach Tato! Gdzie się podziewasz, co robisz i czemu nie wracasz? Tak nam tęskno i źle, a ty obojętnie patrzysz z góry na cierpienia tych w których masz upodobania. Czemu nie słuchałeś słów tej która wieszała się u twej szyi tak chciwie, jakby w niej rosła żądza pieaszczot, a teraz szal przybrała żalobny szukając cię we mgle.

*„Nieszczęśliwi ci co kochają,
tych których już nie ma.”*

1 lipca 2019r.

Minęło już prawie osiem miesięcy od tragicznej śmierci taty, a ja dalej nie potrafię się z tym pogodzić mimo upływu takiego czasu. Często jest tak, że gdy budzę się rano, a rzeczywistość jeszcze do mnie nie dociera, mam wrażenie, że on żyje i zaraz przyjdzie do mojego pokoju, żeby ze śmiechem wyrzucić mnie z łóżka. Pragnę wtedy jak najdłużej zatrzymać te chwile modląc się w duchu żeby to nie był sen, ale czym dłużej to robię tym bardziej odczuwam poczucie pustki jakie pozostawiła po sobie jego śmierć.

Od tego tragicznego dnia nie potrafię się wyspać i często budzę się w środku nocy z krzykiem, bezmyślnie próbując go przywołać. I tak leżąc w bezruchu przez resztę nocy staram się uspokoić próbując wyłapać oddechy moich śpiących sióstr. Mogę jednak powiedzieć, że jako najstarszy miałem szczęście, ponieważ tata prawie odprowadził mnie w dorosłe życie, ale co one mają zrobić?

Żał mi ich, biednych, wyczerpanych sierotek co chwila spoglądających z nadzieją na drzwi w których już nigdy nie pojawi się ten który pokazywał im jak się robi wianki czy pomagał wiązać buty. Już nigdy nie poznają tego uczucia wędrując z nim po lesie w poszukiwaniu grzybów, albo nie usłyszą tych ciekawych historii opowiadanych po nocnych koszmarach.

Tata odszedł kiedy bliźniaczki były jeszcze w przedszkolu. Jednak teraz już je zakończyły i zaraz mają zacząć nowy etap swojej nauki. Tylko jak to zrobić bez niego? Muszę się na to przygotować i pomóc im przejść ten trudny okres, ale na szczęście mam czas wakacji i może jakoś to będzie, o ile wyciągnę z dołka mamę. Tyle rzeczy do zrobienia, a ja jestem sam. Ach tato!

W sumie tak teraz myśląc nie wiem kto to gorzej przeżywa, ja czy one? Oczywiście nie wspominając już o mamie która całymi dniami tuli do siebie zdjęcie z podobizną ojca. Kiedy jeszcze wszystko było dobrze to właśnie tata był spoiwem które nas wszystkich łączyło i sprowadzało pokój w domu. Tak teraz myśląc, rzeczywiście nie pamiętam żeby kiedykolwiek była prowadzona jakakolwiek kłótnia w domu, chyba, że wliczam historyczne wybuchy matki, ale to taka aluzja. Wszyscy kiedyś byliśmy szczęśliwi, byliśmy...

Od tamtej pory nie pamiętam, żeby moja mama się uśmiechała. Ba! Nawet żeby wyszła ze swojej sypialni. Jeszcze na początku Mia i Kira – jej urocze bliźniaczki, które wciąż wierzyły, że wszystko się ułoży, jakoś wyciągały ją z tego stanu i nakłaniały do jakich kolwiek czynności życiowych, jednak czas pokazał, że i one straciły do tego zapał, a mama znów znikła w żałobnej otchłani. Nawet nie chciała przyjść na zakończenie przedszkola dziewczynek. Nie mogąc pozwolić by były tam same podczas tak ważnego dnia gdy wszyscy dumni rodzice przyszedli robić zdjęcia swoim małym pociechą, z wielkim trudem przyszedłem i im kibicowałem. Nawet nauczyłem je piosenki którą same zaśpiewały. Jednak może lepiej bym się do tego wszystkiego przyłożył gdyby nie mała Cassie. To małe, dwuletnie,

niepozorne dziecko praktycznie cały czas płakało nie dając wszystkim w koło spokojnie obejrzeć przedstawienia. Dopiero po około pół godzinie dała za wygraną i usnęła, a ja w spokoju mogłem dokończyć przedstawienie, co nie obyło się bez wielkich awantur dziewczynek o to kto jest ważniejszy. W tych momentach przypomina mi się jak urodziły się małe.

Kiedy rodzice w końcu przyprowadzili je do naszego domu strasznie irytowało mnie to, że ciągle płaczą i rodzice poświęcają im więcej czasu niż mnie. Było mi tak niedobrze od tego wszystkiego, że uciekłem do pobliskiego lasu i schowałem się w mojej tajemnej kryjówce którą znałem tylko ja i tata.

Tyle obietnic i kłótni poszło na marne. Poczułem się dotknięty tym faktem, a przecież mama tak zachwalała fakt, że jestem jej kochanym synkiem! Mój gniew spowodowany tą niecodzienną sytuacją był tak wielki i nieposkromiony jak żywy ogień który zresztą niewiedomo skąd pojawił się dookoła mnie. Po nie w czasie zauważyłem, że ognia nie spowodował żar z nieba, czy niedogaszzone ognisko, ale moje własne ręce z których tryska jego całe strumienie. Strach zawładnął całym moim ciałem, myśli galopowały, a pragnienie ucieczki stawało się coraz bardziej naglące. Jednak czym bardziej się bałem tym żywioł był jeszcze większy, jak bym to ja nim kierował. Zacząłem krzyczeć, błagać o pomoc, ale nic to nie dało. Ogień wciąż wydobywał się ze mnie już nie tylko w okolicy rąk, ale także ustami. Starając się powstrzymać od krzyku by nie pogarszać swojej sytuacji, gorączkowo zacząłem modlić się w duchu o wybawienie. Myślałem, że tam umrę. Chciałem się uspokoić i spróbować wydostać się z pierścienia mojego płomiennego gniewu, ale nie byłem w stanie go opanować. Wszystko działo się tak szybko. W końcu upadłem, bezsilny na ogarniający mnie stan, odurzony zapachem palącego się lasu, a w uszach pozostał mi czyjś błagalny krzyk.

Obudziłem się dopiero po trzech dniach w szpitalu miejskim. Moje ciało wciąż rozpalone jak bym sam zaczął podpalać się od wewnątrz. Znow poczułem ten sam odór spalenizny i odruchowo pomyślałem, że dalej jestem w lesie. Byłem tak wystraszony myślą, że ogień znow pojawił się wokół mnie, że automatycznie zapragnąłem stąd uciec. Właśnie w tej samej chwili usłyszałem czyjś przeraźliwy krzyk i prawie natychmiast poczułem jak ktoś wstrzykuje mi coś w rękę i znow mogłem bezpiecznie oddalić się od mojego koszmaru. Taki stan utrzymywał się przez parę dni, dopóki ogień w moim ciele do końca nie ustąpił. Przez ten cały czas był przy mnie mój tata. Pamiętam, że za każdym razem kiedy się budziłem płakał po cichu odmawiając modlitwę o to, abym w końcu dał radę przetrwać ten stan. Kiedy nareszcie mogłem spojrzeć na niego i przez sprzęt respiracyjny po cichu wypowiedzieć słowo; „Tato”, z okrzykiem radości rzucił się na mnie zabierając mi przy okazji cały dech w piersiach. Później, na przemian, albo spałem, albo się budziłem, a jedyną niezmienną rzeczą w tym wszystkim był właśnie on.

W dzień mojego wypisu ze szpitala coś się zmieniło. Dopiero w tej chwili spostrzegłem jaki mój ojciec był wykończony i zmizerniały, ale on sam wydawał się być bardzo surowy i ostrożny czego jeszcze nigdy nie widziałem na jego twarzy. Jak by cały ten czas spędzony obok mnie, albo mnie pilnował, albo się z kimś kłócił, a przecież miał jeszcze mamę i dziewczynki. Dopiero wtedy zrozumiałem jak bardzo wszystkich musiałem skrzywdzić w tak ważnej chwili choć nie miałem na to większego wpływu. Przed oczami miałem wtedy tylko obraz kobiety wykończonej opieką nad dwójką małych niemowlaków i faktem, że jej syn leży w szpitalu, a ona nie może go odwiedzić. Wyrzuty sumienia jakie wtedy mną zawładnęły były tak silne, że nie byłem w stanie nic innego zrobić jak po cichu płakać w poduszkę. Tata spostrzegłszy to w jednej chwili przestał patrzeć na mnie jak na złego demona, a znów tak jak zawsze, na swojego małego synka. Przytulił mnie i zaczął uspokajać, a dopiero po krótkiej chwili ciszy która wydawała mi się wiecznością tata ze śmiechem na ustach powiedział do mnie;

-Ach synku! Bycie tatą to ciężki kawałek chleba. Wiem, że bycie starszym bratem i dzielenie się uwagą rodziców, też nie jest łatwe, ale wierze, że staniesz na wysokości swojego zadania, a jeśli mnie zabraknie zastąpisz mnie jako odpowiedzialny, dorosły mężczyzna.

A po kolejnej chwili ciszy kiedy w końcu przestałem płakać dodał:

-Jeśli chodzi o to co się wydarzyło w lesie, policja twierdzi, że ogień został wywołany przypadkiem, ale proszę cię Alex i zapamiętaj to jako ostrzeżenie. – tu zniżył głos do szeptu - Nigdy nie daj im powodu do zmiany zdania. Musisz nauczyć się kontrolować swoją moc, ale ja ci pomogę. Wiedz, że zawsze możesz się zwrócić do mnie o pomoc, w końcu jesteśmy rodziną.

Po tym wszystkim tata przez wiele długich nocy zabierał mnie do lasu próbując nauczyć mnie korzystania z mocy o której nie miałem pojęcia. Czasami towarzyszył nam jeszcze dziadek, ale tylko wtedy, gdy mama nabierała podejrzeń.

Żał mi jej, biedna, zmizerniała kobieta. Zawsze starała się dowiedzieć o co chodzi, ale nie mogliśmy jej tego powiedzieć. Mama cierpiała na depresje już wcześniej, kiedy lekarze powiedzieli jej, że nie może urodzić już żadnego dziecka. Jednak jej determinacja i zapal przyniosły owoc w postaci moich młodszych sióstr. Ja jednak miło jej się odpląciłem. Za jej cały trud i poświęcenie, trafiłem do szpitalu gdzie nie mogła mnie odwiedzić. Później ciągle spoglądała na mnie wciąż wyczekując jakiejś zmiany, albo pretensji. Czegokolwiek co dało by jej znak, że jej potrzebuje. Ja jednak przez radę ojca odciąłem się od niej, nie tłumacząc jej nic.

Dziadkowie i tata wiele razy próbowali ją nakłonić do tego, że nic się nie dzieje i wciąż jestem taki sam, ale ja pamiętam jak stała przed ojcem z nożem w ręku, płacząc, próbując się zabić z krzykiem wołając, że jej dziecko stało się potworem.

Nie mam jej tego za złe. Po tym wszystkim mój wygląd nie dawał innych złudzeń jak jej własne odczucia. Praktycznie cały ten wypadek nadał mi wygląd chodzącej hybrydy. Ciemnie włosy poprzecinane białymi kosmykami, lewe oko wręcz białe z dodatkową blizną przez nie przechodzącą, drugie zaś ciemne, no i skóra. Z daleka mogę spokojnie udawać dalmatyńczyka, tylko zamiast czarnych plam mam czerwone. Ogółem żyć nie umierać.

Jednak wracając do mojej matki, jeszcze po całym zajściu dawała radę mnie widywać kiedy żył tata, nawet czasami mnie tuliła, ale wypadek mojego ojca naprawdę pokazał kto tu jest potworem.

W dzień śmierci taty, razem z moimi kolegami z klasy mieliśmy turniej piłkarski. Wielu rodziców przyszło nam kibicować, ale nigdzie nie mogłem dojrzeć moich, choć obiecali, że przyjdą. Kiedy rozbrzmiał gwizdek zakańczający pierwszą połowę meczu mój trener odebrał jakiś ważny telefon. Jako kapitan zespołu, pod jego nieobecność zacząłem naradzać się z pozostałymi zawodnikami na temat taktyki na drugą połowę, ale trener szybko zakończył całą naradę.

- Alex James! Twój tata miał wypadek. Twoja rodzina już tam jest i poproszono żebym cię tam zawiózł. Pakuj swoje rzeczy, wytłumaczę cię.

Uczułem jak grunt pod nogami mi się osuwa. Nie byłem w stanie nic zrobić jak tylko stać i pusto spoglądać w dal. Moi koledzy pomogli mi się przebrać i spakować, a nawet pomogli mi dojść do samochodu. Pamiętam jak Liam, mój najlepszy przyjaciel uparł się, że jedzie ze mną, choć trener wyraźnie mu zakazał. Tak pojechaliśmy we trójkę, a grobowa cisza jaka panowała w aucie jedynie pogłębiała moje zmieszanie.

Cały czas zadawałem sobie pytania; jaki wypadek, jak to szpital, przecież mieli przyjechać na mecz! Wszystko wirowało. Nie pamiętam nic z tego co robiłem w aucie, ani jak znalazłem się w budynku szpitala. Oprzytomniałem dopiero na widok mojej matki siedzącej na krześle, i podtrzymywanej przez babcię i jedną z pielęgniarek. Podbiegłem i zacząłem do niej krzyczeć, prosić o wyjaśnienia, szarpać ją jak szmacianą lalkę, ale była jak zaklęta. Za niecałe parę minut, kiedy Liam i pielęgniarka w końcu oderwał mnie od niej i doprowadzili do przeciwległego krzesła, z przyległego korytarza przyszedł lekarz z moim dziadkiem. Oboje wyglądali na bardzo poważnych i rozmawiali półgębkiem. Ich rozmowa trwała bardzo długo i skończyła się dopiero wtedy kiedy dziadek mnie dostrzegł. Pospiesznie rzucił coś do swojego rozmówcy i pędem rzucił się w moją stronę. Powolnie zaczął mnie tulić coś mi tłumacząc, ale jego słowa do mnie nie docierały. Czułem się tak jak by ktoś mnie zanurzył głęboko pod wodą, a jedynie co do mnie docierało to szum fal.

Bardzo długo siedzieliśmy w poczekalni, a co rusz pojawiali się kolejni członkowie rodziny. Zjechali się ciocie, wujkowie z obu stron, rodzice mojego taty. Wszyscy wyglądali na bardzo poważnych i wystraszonych, a mnie wydawało się, że zaraz rozpocznie się jakiś paradoksalny zjazd rodzinny tylko dalej nie rozumiałem gdzie jest tata i na co czekamy w tym

szpitalu? Dopiero po jakichś paru godzinach zauważyłem, że nie ma dziewczynek i ogarnął mnie paraliżujący strach, że one też gdzieś tu są, ale na szczęście babcia Kate wytłumaczyła mi, że są w domu, bezpieczne pod opieką cioci Lu. Trochę się uspokajając znów padłem na mojego kompana.

Muszę przyznać, że Liam to niezastąpiony przyjaciel. Przez cały czas mnie nie opuszczał, przynosząc mi wody, lub monotonicznie powtarzając mi co się dzieje, próbując wychwycić jakieś ważne informacje z innych rozmów prowadzonych wokół nas. Wielokrotnie kazałem mu iść już do domu, ale za każdym razem, stanowczo mi oświadczał, że nigdzie się stąd nie ruszy. Ach, kochany Liamie! Nawet nie wiesz jak się cieszę, że mam kogoś takiego jak ty. Jesteś jedynym komu mógłbym powierzyć moje troski. Tylko ty zostałeś przy mnie i pomogłeś mi się podźwignąć do życia.

Okolo godziny dziesiątej na wieczór chirurg, prowadzący operacje mojego taty – o czym dowiedziałem się dopiero po fakcie, powiedział, że nie są już nic w stanie zrobić. To był potężny cios dla nas wszystkich. Dziadek Ted, przekonał go, żeby cała rodzina mogła się z nim pożegnać następnego dnia prosząc by do jutra zostawili go przy życiu dzięki urządzeniom respiracyjnym. Moja mama i ja wpadliśmy w obłąd, co rusz krzycząc i płacząc na przemian, podobnie jak reszta rodziny. Kiedy szok już minął i wszyscy mieliśmy zbierać się do domu szykując się na wieczną rozłąkę moja mama jak by dopiero teraz zrozumiała co się dzieje. Zaczęła krzyczeć i tupać w podłogę jeszcze bardziej niż parę minut temu, jak dziecko które nie dostało wymarzonej zabawki, aż w końcu, ku zdziwieniu wszystkich porwała skalpel z wózka szpitalnego wiezionego przez otyłą pielęgniarkę i przystawiła mi go do szyi.

Wszystkich zamurowało. Każdy obecny na korytarzu szpitalnym wstrzymał oddech w napięciu, co teraz się wydarzy. Dziadkowie spokojnie starali się uspokoić matkę. Jednak mimo usilnych starań zaczęła się panika, ciotki zaczęły krzyczeć, wujkowie i pielęgniarki szarpać się z mamą i tylko ja stałem nie wzruszony, przyglądając się całej scenie tak jak by mnie tu w ogóle nie było.

Chaos jaki zapanował był o tyle wielki, że nawet nie zauważyłem kiedy matka przycisnęła mnie do ściany coraz bardziej przybliżając się w moją stronę, aż w końcu przestrzeń dzieląca nasze twarze znikła. W tej chwili poczułem jak coś ciepłego cieknie mi po szyi, a do uszu doleciał mnie jej donośny krzyk

- Już nie jesteś moim synem! Jesteś potworem który odebrał mu życie!

Po tych słowach ostro zamachnęła się w moją stronę i kto wiem czy jej próba zamachu na moją osobę by się jej nie udała gdyby właśnie nie Liam, który rzucił się na nią w ostatniej chwili tak, że ostrze zamiast w moje serce wbiło się w moje lewe ramię. O tym co się dalej działo usłyszałem już jedynie z opowieści, ponieważ zemdlałem zaraz po tym.

Okazało się, że po tym całym zajściu, kiedy już lekarze zabrali mnie na oddział, moja mama została obezwładniona i zatrzymana do przyjazdu policji zwołaną przez jedną z pacjentek szpitala. Lekarze jednak razem z całą rodziną załagodzili jakoś sytuację zrzucając winę na jej stan psychiczny po śmierci męża. Nie obyło się to bez późniejszych interwencji opieki społecznej w naszym domu, ale o tym później.

Nie wiadomo dlaczego zacząłem mocno gorączkować dlatego lekarze utrzymywali mnie w stanie śpiączki przez parę dni z uwagi na mój wcześniejszy wypadek. Kiedy się obudziłem wzrokiem wodziłem po sali, odruchowo szukając taty, ale kiedy prawda do mnie dotarła, zacząłem krzyczeć i wić się na łóżku. Wtedy po raz kolejny w życiu uczułem ten sam tłący się płomień we mnie, tylko tym razem chciałem go uwolnić, pragnąłem tego, żeby wszystko tutaj wraz ze mną stało się jedną wielką kupką popiołu. Jednak lekarze nie dali mi spełnić tego planu. Obezwładnili mnie i znów wepchnięto mnie siłą w ciemną otchłań.

Kiedy znowu się obudziłem dowiedziałem się, że minął już tydzień od pogrzebu taty. Lekarze w pogotowiu byli w stanie znów mnie uśpić, ale już nie mieli po co się niepokoić. Gniew który czułem jak rozgrzany pręt w moim sercu, nawet śpiąc, ustąpił fali smutku i bezsilności.

Od tamtej pory, kiedy już wyszedłem ze szpitala, życie w naszym domu przypomina wegetowanie roślin. Wszyscy wyuczyli się już schematu który obowiązuje i nikt jakoś nie ma go ochoty zmieniać.

Ja zajmuję się domem i dziewczynkami, mama udaje, że już nie żyje lub gada do ścian, dziewczynki starają się być grzeczne i w miarę mi nie przeszkadzać. Chyba tylko Cassie nie jest objęta całym tym programem i dostarcza wszystkim domownikom jakichś odmiennych wrażeń.

Pracuję w pobliskiej kawiarni, niedaleko szkoły Mii i Kiry, aby zarobić na nasze utrzymanie. Prawie nie narzekam, właściciel bardzo mnie lubi, a robota jest w miarę prosta. Jedynie czasami dokuczają mi miejscowi klienci którzy pod wpływem pewnych środków odurzających pragną zobaczyć pokaz „sztucznych ogni” w moim wykonaniu. Ha ha! Boki zrywać.

Często odwiedza nas rodzina, która pragnie nas wspomóc na wszelakie sposoby, chociaż ja chciałbym, żeby czasami już sobie darowali z tą swoją życzliwością. Wtedy ja i mama (która bezustannie jest pod działaniem środków na depresje), znajdujemy na chwilę wspólny język i razem dogryzamy naszym gościom. Zdaje sobie sprawę, że powinienem być być im wdzięczny za to, ale chociaż na chwilę mogę poczuć, że znów mam matkę, a czasami mi się wydaje, że sami nam się podstawiają, żeby zrobić mi te uciechę.

Jednak mimo wielkiej pomocy ze strony rodziny, przyjaciół i sąsiadów nasz dom powoli zamienia się w ruinę. Tata pracował w jakimś koncernie gdzie programował i tworzył jakieś strony internetowe, a przynajmniej tak nam mówił, bo pogłoski chodzą różne. Bądź co bądź

nieważne co robił ale dawało mu to sporo pieniędzy. Od kiedy go nie ma, nasza rodzina ma dość spore kłopoty finansowe.

Praca jako kelner nie przynosi tyle zasobów, żeby można było wyżywić pięcioosobową rodzinę, nawet jeśli jedna z nich pożywia się prawie samymi tabletkami. W sumie to mógłbym iść do jeszcze jednej pracy, ale to oznaczało by, że ktoś musiałby się zająć dziewczynkami i matką. Teoretycznie mógłbym poprosić o to kogoś z rodziny, ale na nasze nieszczęście, mieszkają dość daleko od nas. Na myśl przychodzi mi jeszcze Liam, ale nie mógłbym prosić o to najlepszego kumpla, tym bardziej już i tak wiele razy wyciągał mnie z kłopotów tak więc to też odpada, a zatrudnienie niani mija się z celem.

Tak po parogodzinnych rozmyślaniach jak moje w miarę szczęśliwe życie zmieniło się w jeden wielki koszmar, postanawiam przyszykować śniadanie dla rodziny. Jest godzina ósma rano i mimo iż jest to poniedziałek, to nie musimy wstawać do szkoły, choć dla mnie to był już ostatni rok. Spełniłem obietnicę dziadka i ukończyłem liceum, niech więc ode mnie teraz nie wymagają.

Przygotowanie całego śniadania i wybudzenie moich sióstr zajęło mi około godziny, następnie porządki, pomoc w ubraniu i naszykowaniu zabawy, kolejna godzina, i tak w koło można by było z moją rodziną, jednak wiem, że czeka mnie teraz coś innego. Około godziny piętnastej nakazuje dziewczynkom iść pobawić się do ogrodu i wykorzystując okazję, że Cassie śpi, udaje się pod drzwi sypialni rodziców.

Stoję tak możliwie chyba pół godziny z tacą jedzenia w ręku, aż w końcu na wydech otwieram drzwi. Ogarniają mnie egipskie ciemności i zanim moje oczy przyzwyczajają się do tego mija kolejna chwila. Mrok jest jednak tak silny, że wspomagam się ogniem, jedną ręką tłąc mały płomień, w drugiej wciąż trzymając tace rozglądam się po pokoju. Wszystko co przyniosłem wczoraj wyglądało na nienaruszone poza sokiem pomarańczowym do którego lekarz kazał mi wsypywać proszki uspokajające. Jednak dziwi mnie to, że nie widzę Jennifer. Zazwyczaj, albo o tej porze śpi, albo zakopuje się w fałdach łóżka karząc mi jak najszybciej zniknąć mi z oczu. Nie mogąc dłużej wytrzymać zapalam światło i aż oczą nie mogę uwierzyć. Pokój o którego starannie dbała mama, wyglądał jak jedno wielkie pole walki. W odruchu paniki zacząłem sprawdzać garderobę i przyboczną łazienkę, ale tam też jej nie było. Przecież nie wyszła by nagle na spacer od tak!

Wyszedłem na korytarz i pędem zleciałem na dół do kuchni próbując skontaktować się z nią przez komórkę. Kiedy pojawiłem się w kuchni coś, a raczej jego brak przyciągnął moją uwagę. W łóżeczku nie było Cassie. Czyżby matka zabrała ją ze sobą, ale dokąd! Jeszcze bardziej zaniepokojony wybiegłem na ogród w poszukiwaniu bliźniaczek, ale ich też nie było.

Nie mogąc w to wszystko uwierzyć, wracając do kuchni zabrałem telefon i zatelefonowałem do dziadka, jednak nikt nie odebrał. Zacząłem panicznie kręcić się po pokoju co rusz próbując dodzwonić się do dziadka, a w myślach przewijając coraz gorsze scenariusze jakie

mogły się tu wydarzyć. Nie było mnie tu tylko godzinę kiedy wyszedłem z dziećmi na spacer!
Co tu się dzieje na litość boską?

Po chyba już czterdziestym nieodebranych połączeniach ze strony dziadka stwierdziłem, że nie ma co dalej próbować, a zdać się na własne poszukiwania. Wybiegając szybko z domu porywając jedynie kurtkę i telefon, (domu nie zamykam, bo mogą się wrócić), w pośpiechu wybieram numer Liam'a.

Za pierwszą próbą nie dzieje się nic, co mnie jeszcze bardziej wprowadza panikę, przy drugiej próbie rozlega się znajomy głos.

- No cześć stary! Co tam, jak tam? Jak dziewczyn....

- Liam słuchaj wybaczyć, że ci przerywam, ale jest sprawa dziewczynki zniknęła, mamy też nigdzie nie ma. Błagam pomóż mi ich szukać!

Jednak mimo, że połączenie dalej trwa nikt mi nie odpowiada.

- Halo! Liam, jesteś tam?! Liam błagam cię ...

- Witam cię Alexie James! Miło cię nareszcie poznać! - rozlega się głos za moimi plecami.

Jak wmurowany zatrzymuje się w miejscu. Jestem głuchy na każdy inny dźwięk. Nawet nie zauważyłem kiedy wszedłem w las, swoją drogą nawet nie wiem co robię w tej części lasu. Szybko obracam się w poszukiwaniu jakiegoś człowieka, ale jedyne co widzę to gęstwina bujnych drzew.

Czy ja zaczynam tracić zmysły? Zastanawiam się czy moja mama też tak ma. Może to wszystko to jakiś sen, a ja jeszcze się nie obudziłem? Żeby się trochę uspokoić znów próbuję wybrać numer Liam'a, ale nie ma zasięgu. Klnę cicho pod nosem i wchodzę na najbliższy głąz myśląc, że tam chociaż będę miał jedną kreskę. Jednak gdy jestem na samym szczycie tego wielkiego kamienia on osuwa się i dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że siedzę na ogromnej kamiennej dłoni, jakiegoś ogromnego kamiennego potwora.

- No myślałem, że się już nigdy nie spotkamy młody Jamesie! Długo tu nie zaglądałeś, a mam nadzieję, że już uregulowałeś targ z elfami. – cały czas mówiąc to stwór patrzył gdzieś w dal jak by spodziewał się kogoś jeszcze zobaczyć. Jednak kiedy spojrzał na swoją rozłożystą rękę i zobaczył chłopaka przeoranego bliznami i bladego ze strachu, sam zaczął krzyczeć w niebogłosy. Ten rozdzierający uszy krzyk był tak potworny, że z bólu zwinąłem się w kulkę, próbując jak najszczelniej zasłonić uszy. Stwór widząc to uspokoił się i zaczął powoli trącać mnie swoim ogromnym palcem i zaczął pytać sam siebie:

- Cóż to jest... ani motyl, ani żaba? Na krasnoluda też mi nie wygląda, a może goblin ... nie to chyba chochlik.

Przez cały ten czas ekspertyzy byłem tak sparaliżowany, że gdybym się ruszył moje ciało mogło by się złamać. Tak leżąc w pozycji embrionalnej miałem wrażenie, że ten troll w końcu pomyśli, że jestem robakiem i mnie zgniecie. Wiedziałem, że mogę umrzeć. Z tą myślą nie rozstaje się już prawie od jedenastego roku życia, ale, że umrę w taki sposób to bym w życiu

nie pomyślał. Nie mogąc się powstrzymać zacząłem się histerycznie śmiać w duchu modląc się o to, żeby dziewczynki i mama były w domu, a Liam na wzgląd na naszą przyjaźni zajął się nimi. Jednak nic się nie działo. Podniosłem ręce znad głowy i spojrzałem na twarz potwora. Trochę dziwnie wyglądał. Poza tym, że całą strukturę jego twarzy tworzyły kamienie o różnych barwach i miał wielki, bulwiasty nos mogący pomieścić co najmniej z osiem osób na jego twarzy malował się wyraz smutku. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, że coś tak wielkiego i przerażającego, może mieć takie ludzkie uczucia. Tak w przejmującej chwili, mierzając się wzrokiem, stwór nagle z wielkim łoskotem runął na ziemię czemu towarzyszył ogromny wstrząs. Przy takim ruchu prawie bym spadł, ale ten ogromny stwór zasłonił mnie obiema rękami tworząc wokół mnie kamienną barierę. Kiedy mnie odsonił i spojrzał na mnie spróbowałem się blado uśmiechnąć, dając mu znak, że jestem pokojowo nastawiony, troll na ten sygnał zmarszczył twarz, pociągnął ogromny haust powietrza w który prawie by mnie wciągnął gdybym nie złapał się jego potężnych palców i głośno zapłakał.

Teraz jeszcze bardziej zmieszany postanowiłem z nim porozmawiać, ale głos uwiązł mi w gardle, aż w końcu bezsilnie padłem na jego dłoń chowając twarz w kolanach. Za nim potwór się uspokoił minęło parę długich minut, ale kiedy powoli spojrzałem w dół próbując ocenić na jakiej wysokości się znajduje, tam gdzie przed chwilą jeszcze była wielka polana teraz znajdowało się wielkie jezioro łez, a w samym jego centrum byliśmy my. Na oko mogłem powiedzieć, że jestem na wysokości około sześciu, może siedmiu metrów. Powstrzymując odruch wymiotny w końcu zdecydowałem się zapytać wciąż płaczącego trolla o co chodzi.

- Hej! W.. Wielki Olbrzymie! Może chciałbyś odstawić mnie na ziemię, albo chociaż powiedzieć mi gdzie jestem lub kim ty jesteś?

Na te słowa troll przestał płakać, a zaczął podejrzliwie mi się przyglądać.

- Kim ja jestem? Kim ja jestem? No proszę, co za odważne chłopisko z tego Tony'ego, że przyprowadza mi tu jakiś małych knypków. Znasz Tony'ego? To mój dobry kumpel, tylko psia lica dawno już mnie nie odwiedzał.

Na dźwięk imienia taty posmutniałem. Olbrzym widząc moją reakcję przybliżył mnie do swojej twarzy i po cichutku powiedział:

- Ja jestem Radgar, Radgar Bur. A ty jak tam do licha się nazywasz?

- Nazywam się Alex James. Jestem synem Anthony'ego James'a.

- Psia lica! To Tony ma syna?!

- Ma nawet jeszcze trzy córki i żonę. – dopowiedziałem szeptem, - Mniejsza o to, powiedz mi czy mógł byś mnie odłożyć na ziemię, albo powiedzieć czy nie widziałeś blond kobiety z trójką małych dzieci?

Radgar zastanowił się chwilę i odparł.

- Powiem ci co wiem, ale najpierw udowodnij, żeś jest syn Tony'ego.

- Jak mam ci to udowodnić?

- No tego licha...- znów na chwilę się zastanowił i ciągnął dalej – Skoro jesteś jego synem wysusz te jezioro co żem wypłakał.

Zbladłem.

- A jeśli mi się nie uda?

- To cię zgniotę jak te owady.

- Nie chce cię martwić, ale prawdopodobnie to są orły.

- No nie wiem kto tu kogo martwi.

Znów spojrzałem na wielkie morze łez. Co najmniej zajmowało powierzchnię placu piłkarskiego, a nawet nie wiem jaką ma głębokość. Po krótkim namyśle jednak staram się spróbować.

Tata wiele lat spędził na tym, żeby móc kontrolować swoją moc w chwili nadmiaru uczuć, a nawet używania około pięciu procent całej siły, żeby móc na przykład podpalać gazówkę czy stworzyć małe oświetlenie. Jednak niech ktoś mi teraz powie, jak na miłość boską mam wysuszyć jezioro?

Przypominam sobie wszystkie rady ojca, ale mam umysł jak z waty. Chwile mijają, a coraz bardziej czuję, że Radgar traci cierpliwość.

- Dasz radę, to tylko mała kałuża, co to dla ciebie. – szepczę sam do siebie.

Coraz bardziej idąc w głąb ramienia Radgar'a słyszę jego wrzask.

- Zrobisz coś z tym czy jednak chcesz umrzeć?

W tym momencie puszczam się biegiem, aż w końcu skaczę na samej krawędzi jego dłoni. Uczucie spadania jest obezwładniające. Poziom adrenaliny w moim ciele znacznie wzrasta. Teraz nic by nie mogło już dla mnie istnieć poza tym szumem, ale widok wody szybko przybliży się w moja stronę. Kiedy już jestem może z metr od niej robię głęboki wdech i wypuszczam żywioł z rąk.

Siła uderzenia jest na tyle silna, że znów unoszę się parę metrów w górę. Para wodna ogarnia cały las na tyle mocno, że nikt nic nie widzi, ale dalej ciskam ogniem w ziemię licząc na to, że za chwilę będzie po problemie.

Mija jednak sporo minut zanim cała para opada i ze zdziwieniem zauważam, że spora część lasu po południowej stronie płonie. O nie tylko nie to! Już mam biec w stronę miasta i prosić o pomoc kiedy po raz kolejny zostaje porwany w górę.

- Spokojna głowa, ja się tym zajmę.

Radgar w mgnieniu oka ugasił pożar mocno na niego plując. Mimowolnie wydobywa się ze mnie okrzyk „Fuj!”, na co mój olbrzym reaguje gromkim śmiechem.

- Teraz widzę, żeś jest jego synem. On tak samo reagował kiedy go ratowałem wtedy gdy sam jeszcze nie wiedział jak to się do licha obsługuje.

Powoli i ostrożnie odstawił mnie na ziemię, z niezwykłą delikatnością pogłaskał po głowie i powiedział.

- No to żegnaj! Jak Tony będzie miał czas niech się u mnie zjawi. Bywaj!

Już nie wiedząc który raz dzisiejszego dnia mną wstrząsnęło zakrzyknąłem do trolla.

- Czekaj! Powiedz mi czy widziałeś moją rodzinę, ale Radgar był już daleko stąd.

Próbując go dogonić wciąż krzychałem do niego, aby się zatrzymał. Kiedy już prawie zniknął mi z oczu krzykiem w eter.

- Tony nie żyje! – upadłem jak długi nie mogąc dać wiary, że dopiero teraz przyznałem się do tego.

Bezsilny, nie wiedząc gdzie jest moja rodzina zostałem w lesie głośno zawodząc. Pragnąłem znów stanąć w ognistym pierścieniu i błagać o to żeby mnie strawił. Musiałem długo tak leżeć bo w końcu wycieńczony usnąłem.

Kiedy znów się obudziłem była już noc, a ja wciąż byłem w lesie. Poprawka, jednak nie byłem w lesie. Znajdowałem się w jakiejś chatce i leżałem z mokrym ręcznikiem na czole w dosyć wygodnym łóżku. Na kominku w małym garnuszku coś się gotowało, ale nigdzie nie było widać gospodarza. Czyżbym włamał się komuś do domu? I kiedy już miałem wstawać w nadziei, że nikt tego nie zauważy coś przyszpiliło mnie do łóżka. Mówię coś bo nawet nie wiem jak to opisać.

Ciało tej osoby było zrobione z kory drzew, ubranie z mchu, a włosy z bujnych traw. Chwilę jednak zajął mi fakt, że to co w pierwszej chwili wziąłem za włosy okazało się cierniowymi kolcami które wydłużały się zależnie od chęci posiadacza, a raczej posiadaczki.

Ta, yy... kobieta widząc, że nie jestem w stanie nic więcej zrobić spokojnie odsunęła się ode mnie, tak jak by przed sobą miała dzikie zwierze. Już chciałem jej powiedzieć, że nie musi się mnie bać, ale padłem na poduszki jak długi z braku sił. Zacząłem się trząść i mocno kaszleć, wszystko mi się rozmazywało, aż w końcu pochłonęła mnie pustka.

Obudziłem się następnego dnia, znów na tym samym łóżku. Słońce mocno świeciło przez szyby leśniczówki, ale mi było przeraźliwie zimno. Kiedy mój wzrok już się dobrze przyzwyczaił, przyjrzałem się bliżej całemu domkowi.

Leśniczówka składała się z dwóch małych pokoi które stanowiły łazienka i gabinet leśnika oraz jednego wielkiego w którym mieściła się kuchnia, sypialnia i jadalnia. Kiedy tak chodziłem, zauważyłem, że wszystko oprócz łóżka było porośnięte bluszczem. Zmęczony sytuacją padłem twarzą w łóżko, marząc o tym, aby wszystko było jakimś chorym snem, ale nagle wszechobecny bluszcz zaczyna się zwijać w jakąś postać. I dopiero gdy znów powoli przewracam się na plecy zauważam, że ta dziwna kobieta z wczoraj mi się nie przyśniła, bo znów ją widzę. Czyli zabawy ciąg dalszy.

- Witaj Alexie. Jestem Catania opiekunka stworzeń Liboni. Zabrałam cię tutaj ponie....

- Co my tu robimy? Gdzie jest Radgar? Skąd znasz moje imię i dlaczego... kim ty do cholery jesteś? Gdzie jest moja rodzina?

Jednak niegrzeczne przerwanie wywodu Catani nie wybiło jej z rytmu. Ciągnęła dalej swoją wypowiedź tak jakbym tu nie istniał.

- Jak już mówiłam, opiekuję się wszystkimi stworzeniami Liboni, zaczynając od delikatnych zwierząt, a kończąc na ... stworach jak to ująłeś. Zabrałam cię tutaj ponieważ zemdlełeś, a z twojego ciała wydobywał się ogromny płomień. Wiele stworzeń, w tym Radgar, chciały cię zobaczyć, ale odmówiłam tego w strachu myśląc, że nas podpalisz tak jak zrobił to twój ojciec.

- Mój tata nie posiadał żadnej mocy, tylko ja z rodziny potrafię coś takiego..

- Tak sądzisz? – tym razem to Catania mi przerwała. – To znaczy, że nic nie wiesz o swojej rodzinie.

- Jak to nic nie wiem? Przecież ...

- Twój ojciec, Anthony James, był oszustem i złodziejem, dlatego karą jaką poniósł za zdradę króla Avala była śmierć!

Jak wcześniejsze wiadomości mnie sparaliżowały tak ta ścięła mnie z nóg. Jednak moja rozmówczyni nie zainteresowała mój stan psychiczny. Stała wzburzona i zaczęła nerwowo krzątać się po pokoju, coraz niebezpieczniej poruszając kolcami na swojej głowie.

- Kiedyś nasz świat wyglądał inaczej niż teraz. Kiedy jeszcze ty i ten twój nędzny gatunek zastanawialiście się jak zaproszyć ogień do ogniska, nasza cywilizacja robiła wielkie przełomy naukowe. Rządziliśmy całą planetą, niepodzielnymi rządami, ponieważ u nas nie było podziałów, wszyscy byliśmy jednością, a pośród wszystkich stworzeń panowała harmonia. Jednak kiedy człowiek dorósł do tego jak posługiwać się czymś tak plugawym jak broń, wszystko się zmieniło. Nastąpił wiek zagłady w którym ludzie zaczęli walczyć z bestiami, jak nas nazywali, ale co zadziwiające szale zwycięstwa nie były nam przychylnie.

Twój gatunek, dzięki wrodzonej bojowości i nieustannym konfliktom nauczył się walczyć tak dobrze, że nawet nasza wiedza i lojalność nie wystarczały by ich poskromić. Przelaliśmy wiele krwi naszych braci i sióstr, nadaremnie próbując skończyć tą wojnę.

Nasz władca widząc coraz większe spustoszenie, rozkazał nam wszystkim skryć się w cieniach lasów, a sam podążył na ostateczny bój. Udało mu się pokonać większość ludzi, ale w pojedynkę nie był w stanie pokonać ich wszystkich. Kiedy już prawie konał przez brutalne ciosy swoich przeciwników, ostatnim tchnieniem wypuścił całą swoją moc, ratując nas od zguby wymazując wspomnienia reszcie przeżytych ludzi.

Tak dobry król poległ ratując swoich pobratymców od rychłej śmierci z rąk tych którzy wszystko nam zawdzięczają. Jednak, żeby jego męczeńska śmierć nie poszła na marne musieliśmy się rozejść po całym świecie, podzieleni na rasy których tak się brzydziliśmy, a teraz są przyczyną naszej głównej klęski.

- Nie rozumiem. Niby dlaczego temu wszystkiemu winny jest mój ojciec?

Catania głęboko westchnęła i ciągnęła dalej.

- Nasze krainy mimo iż podzielone zaczęły żądać wspólnego króla w nadziei, że zgodzi wszystkie stany. My jednak, niegdyś tacy zgodzeni, zaczęliśmy walczyć o to kto powinien przejąć pełnię władzy. Wiele kolejnych lat minęło zanim na tronie Avalanu znów usiadł kolejny władca, choć wciąż nie wiem czy wybór jakiego dokonaliśmy był słuszny.

Król Aval, choć niegdyś zwykły elf, dziś niszczone podejrzewaniem i chęcią zemsty nałożył na nas wiele kar i kolejnych zniszczeń. Marzenia o wspólnym jutrze znów odeszły w dal, do czasu aż w naszej krainie znów nie pojawił się człowiek.

Twój ojciec mimo iż przerażony nami, obiecał, że przybywa w pokojowych stosunkach. Gorliwie prosił naszego władcę o chwilę rozmowy, jednak żywiąc wielką urazę do waszego gatunku, wyrzucił go ze swojego pałacu. Możliwe, że już nic więcej by się nie wydarzyło gdyby nie ulotne zauroczenie do młodzieńca ze strony królowej Seleny. Nieszczęsna nasza władczyni pognęła za twoim ojcem i błagała go o to by wyjawiał jej sekret dla króla.

Ach! Jaka naiwna była z niej kobieta. Kiedy jej ojciec wyjawiał jej swój sekret, przez wiele dni naradzali się wspólnie nad jakimś planem. Tak w sądny dzień doszło do zdrady. W dzień Krwawej Nocy, największego święta krainy Avalan, świętującej zakończenie wielkiej wojny, Królowa Selen otworzyła portal między światami, wpuszczając do nas ludzi pragnących zemsty.

Na nowo rozpoczęła się nasza walka z ludźmi. Król Aval razem z Królową Selen zostali zabrani do zamku i zabarykadowani, jednak Królowa postanowiła zabić swojego męża i obalić jego tyranie. Wszystko by się udało gdyby nie fakt, że dokonała tego ludzką bronią. Możemy od niej umrzeć, ale nasze dusze wracają do Avalanu, zamienione w zabójcze potwory i będą nimi dopóki ktoś ich nie zgładzi po raz wtóry tą samą bronią.

Król zmieniony w ohydny bestię, chciał pożreć Selen jednak nie przewidział tego, że w swoim łonie nosiła dziecko tego okropnego człowieka, które odrzucało go jak stalowy pręt. Widząc co się dzieje duch Avala zamienił Selen w posąg uprzednio wycinając to dziecko i zrzucając je z najwyższej wieży zamczyska. Podczas lotu białe włosy dziecka powoli zmieniały się w czarne, a ślad po nim zaginął.

Ludzie na placu zostali pokonani, a Avalan stracił króla na zawsze. Wielu już próbowało poskromić bestię, jednak nikomu się to nie udało. Nasze nadzieje spełzły by już na niczym gdyby nie ty.

-Ja?

-Tak, ty. Od początku cię pilnuje wiedząc kim jesteś synu Anthon'ego i Selen. Jako nasza nadzieja jesteś jedynym który może wyzwolić nas spod woli tej okropnej bestii.

Nie wiedziałem co mam jej odpowiedzieć.

- Ale..

-Jeśli to zrobisz wskażę ci drogę do domu gdzie czeka na ciebie rodzina.

Jak na znak ukazała się dziura w ścianie która nie pokazywała reszty lasu, a mój dom gdzie dziadkowie wraz z mamą i dziewczynkami, a nawet Liam'em próbowali dowiedzieć się gdzie jestem.

- Oni potrzebują cię, tak samo jak my.

Nawet nie wiedząc kiedy, znalazłem się przed wielkim bajkowym zamczyskiem, uzbrojony w jakiś dziwnie zastrzony miecz.

- Tym narzędziem twoja matka dokonała tej zbrodni. Idź i pokaż, że jesteś godzien mocy którą ona ci przekazała.

Drżąc na całym ciele przekroczyłem bramy zamku. Ze zdziwieniem zauważyłem, że jestem ubrany w jakiś dziwny, średniowieczny strój bojowy, a na głowie mam hełm który dziwnym trafem nie ograniczał mi widoczności. Coraz bardziej zanurzając się w głąb ciemnego zamku, czułem narastający we mnie lęk.

-Och tato coś ty najlepszego zrobił? – po cichu szeptałem do siebie.

Cisza i mrok jakie panowały w komnatach zdawały się drwić ze mnie. W końcu dotarłem do ogromnej sali z pewnością pełniącą niegdyś funkcje Sali tronowej i rozdziawiłem szeroko usta ze zdziwienia. Na samym środku pomieszczenia stał posąg prześlicznej kobiety, zastygłej w wyrazie przerażenia z wyciągniętymi przed siebie rękoma, a wokół jej stóp owinięty był ogromny, obślizgły stu metrowy wąż który mierzył mnie wzrokiem.

Tak stojąc naprzeciw sobie, śledząc każdy swój ruch, powoli, zza pazuchy wyciągnąłem ostrze.

- Nareszcie przybyłeś plugawy następcze! Ile można było czekać?

- Tyle, żebyś zrozumiał gdzie popełniłeś błąd.

Na te słowa oboje ruszyliśmy na siebie. Wąż szeroko otworzył paszczę z zamiarem szybkiego mnie pożarcia, ale ja znając techniki piłkarskie, wślizgiem przedostałem się po jego obślizgłe podbrzusze, rozpruwając większą jego część. Potwór przeraźliwie ryknął znów ruszając w moją stronę, jednak mimo całego swojego uzbrojenia byłem od niego szybszy i zwinniejszy i w szaleńczym pędzie ciąłem jego ogromne cielsko na coraz większe części.

Stwór resztkami sił schował się za posąg kobiety i kiedy już miałem mu zadać ostateczny cios, wszystkie oderżnięte części jego ciała pofrunęły moją stronę silnie przygważdżając mnie do ściany.

- Myślałeś, że to już koniec, głupi człowieku. To ja tu rządzę i nie pozwolę nikomu zasiąść na tym tronie. Teraz dopiero jest koniec, pożegnaj się ze swoim już na zawsze ze swoim nędznym życiem.

Przeraźliwie śmiejąc się smok natarł na mnie z siłą kuli uderzeniowej. Zacząłem myśleć, że rzeczywiście to jest mój koniec. I pomyśleć, że tak naprawdę nigdy w życiu nie użyłem w pełni tego co mi się bez zaprzeczalnie należało. Czekaając na rychłe uderzenie postanowiłem skorzystać z ostatniej deski ratunku.

Widząc ogromne zębiska węża tuż przy mojej twarzy wypuściłem całą moc jaka we mnie drzemała. Ta siła była o tyle potężna, że w mgnieniu oka zniszczyłem prawie całe pomieszczenie wraz z moim okrzykiem. Cały budynek zaczął się niebezpiecznie chwiać, przelotnie spojrzałem na wyjście, ale było zawałone gruzem. Posąg Selene też był zniszczony. Jedyne co ocalało z wielkiego wybuchu był złoty tron króla. Wierząc, że to się uda wskoczyłem na tron, gdy nagle ogromny głaz przykrył mnie całego.

7 luty 2020r.

Obudziłem się w białym pomieszczeniu, a w moich ustach znajdowało się pełno rurek, tak samo jak w całym moim ciele. Nade mną stało dwoje nieznanych mi ludzi, a w ich oczach znajdowały się łzy. Prawie natychmiast znów przeniosłem się w krainę sennych marzeń.

Zanim znów mogłem samodzielnie stanąć na nogi minęło wiele dni. Okazało się, że wszystko co przeżyłem w ciągu ostatnich ośmiu lat okazało się zwykłą fikcją. Znajdowałem się w śpiączce, od ponad siedmiu lat, a niespodziewane ataki serca wybudzały mnie z tego stanu. Ludzie którzy stali nade mną gdy po raz pierwszy się obudziłem, okazali się moimi rodzicami, którzy monotonicznie tłumaczyli mi co się stało. Ja jednak cały czas nie pojmowałem co się stało.

Dzień w którym nareszcie wracałem z rodzicami do domu spostrzegłem, że w krzakach coś się mieni. Szybko odeszłam w stronę blasku. Kiedy podniosłem mały przedmiot okazało się, że jest to maleńki przezroczysty kamień w kształcie serca z datą moich urodzin.

A może jednak to nie był sen?